

PRZYGODA HOMO POLONICUSA

W stolicy Lazurowego Wybrzeża można odczuć atmosferę wielkiego świata. Nadmorskie promenady, wąskie uliczki starego miasta huczące kosmopolitycznym gwarem. Rezydencje otoczone ogrodami – fontanny, posągi, śródziemnomorska przyroda, aleje z luksusowymi sklepami.

Włóczyłem się podziwiając dominujący w architekturze styl Belle Epoque. A kiedy wieczór się rozkręcał – spacerowałem w samym sercu miasta, bo tak naprawdę nie miałem nic innego do roboty. Niedaleko kasyna przy słynnym bulwarze Viktora Hugo i pod Hotelem Nacional przy Avenue Jean Medici, panienki szelestem wytwornych sukienek przemykały obok mnie eksponując wdzięki, a ich spojrzenia przyprawiały mnie o dreszcze. Muzyczne Love songs rozbrzmiewały urzekająco, a ja w samym środku rajy panienek chętnych do miłości.

Była tak oszałamiająco piękna, niczym gwiazda filmowa i wyniośle chłodna. Wyzwalała ambiwalentne uczucia; paraliżujący strach oraz pożądanie. Myślałem: na pewno jest wyzuta ze wszystkiego co ludzkie i martwa w środku. Stąpała majestatycznie na piętrowych koturnach najdziwaczniejszych bucików jakie kiedykolwiek widziałem, krokiem Wenus o rozkołysanych biodrach. Piersi wylewały się z obcistej sukienki. Hipnotyczne spojrzenie działało zniewalająco. Na pewno nie była wulkanem w postaci kobiety. Nie mogła być...

Zatracałem się w rozmyślaniach o niej. Ona nie mówiłaby tych wszystkich bzdur o miłości, ślubie, jak wszystkie inne zapyziałe kretyнки. Jej nie wystarczyłoby moje ciało. Pragnęłaby posiąść moją duszę obsesyjnie jak paranoiczka, kawałek po kawałku. Czerpiąc z tego perwersyjną przyjemność, unicestwiłaby mnie na dobre. Cechuje ją jakaś szczególna siła – byłem o tym przekonany. Nigdy nie będę miał takiej kobiety – biadoliłem skrycie. Nie stać mnie na nią, a może jestem dla niej zbyt prymitywny?

Dostawałem hysia. Wędrowałem z barów do mrocznych kawiarni tak rozpaczliwie samotny, szukając jakiejś rozrywki, aby zapomnieć, oddalić pożądanie. Bo chociaż byłem zagorzałym romantykiem, to jednocześnie chciałem, aby ta zimna jak posąg dziewczyna, przytuliła mnie do siebie bez purytańskich kompleksów. Chciałem wchłonać aromat jej skóry i zatrzymać to pachnidło tak, aby się nigdy nie ulotniło. Nie myślałem głową. Powietrze wokół było ciężkie od pragnień – rozsadzało mnie od wewnątrz, przyprawiało o uporczywe drżenie wymagające obecności kobiety.

Była piękna kocim pięknem i kusila jedwabistym dotykiem. Siliłem się na błyskotliwość, bo oprócz powierzchowności miała osobowość, jeżeli taka femme może ją w ogóle mieć. Potrafiła elokwentnie rozprawiać o miłości nieuchwytniej i niespełnionej – o filozofie jońskim Arystypie, który żył z kurtyzana.

Wstąpiliśmy do kafejki i postawiłem jej kawę. Niczego więcej dać jej nie mogłem. Nie miałem szmalu i nie potrafiłem wykrzesać dla niej żadnej namiętności, ponieważ NALEŻAŁEM do TAMTEJ, chociaż nawet JEJ nie pocałowałem.

Tulałem się, człapałem tu i ówdzie z nadzieją ujrzenia mojej bogini, a myśl o Niej doprowadzała mnie do szału. Pieściłem ją w swojej wyobraźni i dawałem się pieścić. To było coś cudownego. Zanurzałem dłonie w jej włosach, tuliłem do siebie, wołałem: Kocham cię, Kocham. A jej oczy lśniły żywym blaskiem, usta rysowały wymowny, zagadkowy uśmiech – niczym Mona Lisa z ukrytą tożsamością. Na taką chwilę mógłbym czekać całe życie.

Mówi mi jakieś kłamstwa, ale to bez znaczenia, bo otula mnie pełnią ud, a ja drzę jak rozkwitły kwiat w Edenie, pogrążając się w błogiej beczasowości.

Rozkoszuję się w rozmarzonym transie, ale jakaś pijawka staje przy mnie i budzi z sennych halucynacji. Jestem głodna, postawisz mi coś do zjedzenia? Spoglądam na nią i zanurzam rękę w kieszeni.

Że też ja zawsze dają się nabrać.

– Nie złość się – mówi uprzykrzająca głodojadka w papuzim makijażu od zieleni aż do fioletu.

Jest gęsia wątróbka, może być? – Ujdzie takie bouffe – mówi.

No to ciao amore... adieu...

Homo Polonikus – usłyszałem za plecami po wyjściu z baru.

Jesteś Polką?

I została ze mną na całe życie.

Opowiedział: Jerzy BAZYLIK